

*Bogusławowi K.*

Otworzył jedno oko, potem drugie, piekło niemiłosiernie, nie dało się patrzeć. Promienie lipcowego, cudownego słońca wpadały przez wysokie, weneckie okno do hotelowego pokoju.

Pech - pomyślał, dlaczego dostał mi się pokój od wschodu, trzeba zadzwonić na recepcję, coś zrobić; niech zamienią. K... a jeżeli to nie jest w ogóle mój pokój, przecież wczoraj przyjechałem późno z planu, z Łodzi, nie byłem w żadnym pokoju, od razu mnie „wciągnęło” do baru. A moje rzeczy? Pewnie zostały w barze. Nie mogę dzwonić na recepcję, bo to chyba nie mój pokój, nie daliby mi takiego małego pokoju, a poza tym nie wiem, gdzie tu jest telefon – sytuacja bez wyjścia.

Zorientował się, że leży w ubraniu w poprzek dużego małżeńskiego łóża. W pozycji, w której się znajdował widział tylko swoje stopy obute w modne mokasyny na tle jasnej narzuty łóżka, dalej była tylko jasna plama słonecznego światła. No tak, okulary też gdzieś posiałem, a to pech. Potworny ból rozsadzał mu czaszkę – o poruszeniu głową, która leżała bezwładnie, trochę niżej, niż reszta ciała, nie mógł nawet marzyć. Chciało mu się zapłakać nad własnym losem. Usiłował sobie przypomnieć, jak się tu znalazł – bez powodzenia. Ostatnim obrazem, jaki pamiętał z ostatniej nocy, była tęga barmanka śmiejąca się z wielkiego aktora zza baru i on, biedaczek klęczący przed nią z rękoma złożonymi, jak do modlitwy i proszący: „Pani Krysiu, proszę jeszcze nie zamykać, tylko dwie małe setuchny, błagam”. Pewnie mi dała tej wody, bo dalej już nic – czarna dziura.

Co się mogło wydarzyć – myślał intensywnie, chyba mnie chłopaki tu przynieśli, przecież to wysoko, nie doszedłbym.

Na myśl o wysokości zrobiło mu się niedobrze. Był pewien, że nawet jak uda mu się wstać to i tak nie zdąży do łazienki. A zresztą, pies to j... Pewnie jest późno, może to już południe, która godzina? Popatrzył na przegub ręki – zegarka ani śladu. No tak – jak zwykle, pomyślał, musiało mi zabraknąć przy rachunku i wtedy Władzio, kelner, jego kelner, uczciwy gość, ale dziwak, odstawił swój stały numer: „Panie Bobku, nie ma żadnej sprawy, dasz pan „sikora” i z głowy. Pan wie, że ja tylko tak, dla tradycji, przecież wiem, że pan zapłaci, a ja, chociaż sobie trochę ponoszę tę pana Delbanę, piękną rzecz, złoty”. No tak, w porządku, ale przez te wygłupy Władka nie wiem k..., która godzina, a przydałoby się wiedzieć dokładnie. Ja także wiedziałem,

dlaczego wielki aktor musi znać czas. Czekał na „klina”, a każda minuta oczekiwania czyniła jego mękę trudniejszą do zniesienia. Gdyby za cierpienia związane z nadużyciem alkoholu można było zostać świętym, to nasz bohater już od co najmniej kilkunastu lat prezentowałby swój nie całkiem aryjski profil na ołtarzach kościołów wszystkich wyznań. No cóż, ciężkie czasy, jak powiedział sowiecki żołdak, zdejmując zegar ze ściany. Na razie jest około południa i ktoś ma czelność dobijać się do drzwi hotelowego pokoju, w którym złożono w nocy ciało wielkiego aktora. To właśnie ja pukam bardzo, ale to bardzo delikatnie. Ciszej! – krzyczy Bobek swoim słynnym falsetem – tym samym, którym rzucał okrzyk „NA KOWNO”, grając bohatera naszych czasów w „Zezowatym szczęściu”.

Na hasło „Ciszej” włączę bez wahania do pokoju wielkiego aktora. A, to ty – otworzył jedno oko. Dobrze, że mnie rozpoznał, ostatnio tylko mnie wolno go budzić „skoro świt” w południe. Obsługa hotelu skarżyła się kilkakrotnie „towarzyszowi dyrektorowi”, że wielki aktor rzucał w ich kierunku, czym popadnie, gdy próbowali wejść do pokoju i sprawdzić, czy jeszcze żyje. Patrę na wyro i widzę to co zwykle; Bobek „wczorajszy” umiera na kaca – ostatni akt antycznej tragedii – koń by się uśmieł.

Wielki aktor próbuje się tłumaczyć – no popatrz, popatrz, wcześniej się ubrałem, a potem tak mi się jakoś zrobiło słabo, chyba zasnąłem – łże jak pies. Patrę na wymiętą, kochaną mordkę, biedactwo mruga oczkami, dobra, macham ręką, przecież wiem, że buja.

Która godzina? - pyta. Wcześniej – odpowiadam – będzie jedenasta. Na jego twarzy widać rozczarowanie – chyba go za wcześniej obudziłem i on o tym wie. Bar na dole otwierają dopiero za godzinę. „Bar otwarty od 12 – tej do 24 – tej”, jak dumnie głosi napis na drzwiach. „Gówna prawda” – nieraz „walczyliśmy” tam do białego rana, jak przybyli „nadziani” goście i nikt nie robił problemu. Ale teraz jest dopiero jedenasta w południe i trzeba Bobka czymś zająć, wywabić z wyra, wypłoszyć, jak lisa z jamy, bo inaczej będzie tak gnął aż do wieczora. Nie spodziewałem się, że tu będzie. Rano, idąc na plażę, dowiedziałem się, że wielki aktor najechał naszą okolicę. Podobno uciekł z planu, zbeształ reżysera, że ma dość, że musi mieć kilka dni urlopu, reżyser mu nadał, afera na całą Łódź i okolicę.

Żał mi człowieka – buźka blada, oczy podkrążone, tyra jak wół. A my, „wolne ptaki”, opaleni, wyżarci, pasożyty społeczne, psiakrew. Chodź, mówię, chłopaki są na plaży, weź tylko kąpielówki, coś się załatwi – pocieszam.

Bobek zwleka się z łoża, dalej nie wiemy, czyj to właściwie pokój, dobrze, że portier pamiętał, gdzie go wczoraj nieśli, bo hotel wielki jak „Titanik”, długo bym szukał.

Bobek trzyma się kurczowo poręczy łóżka, jest pewien, że jak się puści, to już po nim. Ale nie, powoli wraca zmysł równowagi, jeden krok, drugi, trzeci – udało się, idziemy do windy, dobra jest.

W windzie mój „pacjent” robi się nagle zielony jak żaba, żołądek podchodzi mu do gardła. Odsuwam się profilaktycznie. „To nic, przejdzie” – uspokaja. Mamy obaj szczęście – winda pozostanie nieskalana, nie będzie trzeba płacić obsłudze hotelu za dodatkowe sprzątanie.

Wychodzimy z „Grandu” na prominencką plażę – wtedy jeszcze ją sprzątano. Słońce wali w łeb jak cholera, idziemy w stronę morza płaskiego stół.

Są już wszyscy. Nie jest nas wielu – taki rocznik, wojenny. Zdejmuję ciuchy, na kolanie mam elastyczna opaskę, ale i tak boli – to pamiątka po tym, jak „po pijaku” zleciałem jeszcze zimą ze wszystkich schodów w knajpie na Gubałówce i nieźle się potłukłem, ale i tak nie narzekam – mogłem się zabić a żyję – szczęście pijaka, ot, co!

Bobek dalej stoi w swoim pomiętym, czarnym garniturku szytym u najlepszego krawca w mieście Łodzi, według najnowszej mody – „pod Bitlesów” – jak przekręca krawiec. Wygląda żałośnie. Rozbierz się, mówię, przecież nie będziesz tak stał do wieczora.

Wielki aktor rozbiera się powoli, nie może ustać, złapać równowagi. Siada na piasku – pomóżcie chłopaki – prosi żałośnie. Zdejmujemy mu spodnie razem z mokasynami i białymi skarpetkami. Pod spodem ma gatki typu „Dynamo” – ciemne. Ujdzie – myślę. Kąpielówek oczywiście zapomniał, ale przecież i tak nie pływa – wszyscy wiemy, że boi się wody – nie przeszkadza nam to.

Uff! Gorąco! Biegniemy do morza, pluskamy się, woda jak na Bałtyk jest bardzo ciepła, płyniemy na wyścigi do boi i dalej. Ratownik się wydiera: „Wracać k..., nie będę się za was tłumaczył”. Dobra, wracamy. Bobek siedzi na piasku – widać, że cierpi, głowa mu paruje. Zrobił się południe. Mruży oczy – jest krótkowidzem, ale nie nosi okularów – „kontaktów” jeszcze nie wynaleziono, a on jest próżny – wiadomo, aktor.

My wszyscy wiemy, o co „biega”. Pójdiesz? – pytam Staszka. Staszek jest najmłodszy, dlatego na niego „padło”. Musi narzucić na siebie łachy, wejść do hotelu i prosto do baru. Bar się otwiera na hasło: „Piwko dla pana Bobka – można już?” Barman jest przeszkolony – da Staszce dwie siaty z butelkami eksportowego „Żywca” trzymanego na zapleczu dla stałych klientów. W sklepie rzadko go „rzucają” – barman ma, bo musi – z tego żyje.

Czekamy na powrót Staszka. Idzie uginając się pod ciężarem butelek. Wielki aktor wypatruje powrotu posłańca. Warga mu wisi, jak stąd do Zakopanego. Z trudem przełyka ślinę – wiadomo, KAC GIGANT.

Już! Otwieram butelkę kantem dłoni o poręcz plażowego kosza, to dobry sposób, podaję wielkiemu aktorowi. Bobek pije łapczywie, oczy robią mu się coraz większe i większe, gałki mało nie wyskoczą na zewnątrz – odrywa pustą butelkę od ust. Jeszcze chwila, jeszcze trochę. Chłopaki – żyją – oznajmia z radością, jakby wrócił przed chwilą z Oświęcimia. Wszyscy się śmieją, klepią go po plecach. „Nasz” Bobek ożył – uratowany – będzie chwila spokoju – może nawet przyśnie na plaży, jak to ma w zwyczaju i nie będziemy musieli wysłuchiwać jego stałej „gadki” jak go to „d...y” wykorzystują – amant, psiakrew.

Wielki aktor kładzie się na ręczniku, przymyka oczy, dziękuję wam chłopaki – mamrocze, chyba się zdrzemnie – fajnie.

Sączymy powoli piwko zadowoleni, że uratowaliśmy „człowieka”. Nie jest źle; jest piwo, słońce, są opalone i „napalone” dziewczyny. Już nadchodzą od strony mola – młodsze, starsze, normalne, wariatki, blondyny, brunety – stado „dup”. Pytają o Bobka. Z dumą pokazujemy palcem na kosz, w którego cieniu drzemie Wielki Aktor. Teraz śpi, ale wieczorem – ho, ho – „da” popalić”. Łapska nam same wędrują do biustów i tyłków stadka płci „przeciwnej”. Musimy przebrać wstępnie „towar” – czy się nada na „imprezkę”. Ostatnie słowo ma jak zwykle najstarszy – Robert – skończony alkoholik i dziwkarz – trzydziestka „na karku” – na całą „stolicę” ekspert. „Dobre mięcho” -mruczy pod nosem – znaczy jest O.K. – można zaprosić na kocyk. Nawiedzone, chude szczapy, intelektualistki w okularach nie mają szans – szkoda na nie

czasu. Robert już nas szkoli; baba musi mieć tu – otwartą dłońią waży jakby kawał „szpondra” – podcipie – wiecie, o czym mówię. Wiemy - nikt nie ma ochoty nabawić się siniaków leżąc na chudym łonie jakiegoś babskiego szkieletu. Te już „przebrane” ciekawie się przysłuchują „szkoleniu”. „Świnie” – stwierdzają bez emocji, jakby od niechcenia – Może i świnie, ale z rodowodem – odpowiada Robert – potomek – wyrodek zacnej warszawskiej „familii”. Dziewczyny mają długie nogi, chodzą w modnym bikini, „fujary” nam grają że hej. Byle tak dalej. Wieczorem pójdziemy kupą do „Non stopu”, tu zaraz obok. Będą grali „Niebiesko-czarni” – potańczymy. Jak nam się znudzi obskurna, tandetna buda, pojedziemy kolejką podmiejską do „Żaka”, do Gdańska, a tam „śmietanka” – znane nazwiska i dupy, dupcie, dupęńki – brać, wybierać.

Jesteśmy w Sopot – po niemiecku „Zopott” – cudowny, przedwojenny kurort. Teraz róża na kupie gnoju. Jest rok 1962. W kraju jak zwykle zamieszanie. Towarzysz Gomułka w „telewizorze” podnosi wydajność z hektara – i przenosi na drugi. Nawet się nie domyśla, stary dureń, jakiej uciechy dostarcza umęczonym brakiem wszystkiego rodakom, wygłaszając te swoje przemówienia.

My niczego nie podnosimy, chyba, że czasami Bobka jak padnie „na pysk” po pijaku. Tu jest azyl dla takich jak my; dwudziesto- i dwudziestoparolatków urodzonych w latach wojny. „Złota młodzież” – „grzmi” motłoch na partyjnych zebraniach, – jaka ona tam złota, niedobitki z okupacji, cudem uratowani – polskie i żydowskie dzieci. W naszych papierach pisze jak wół; pochodzenie; inteligencja pracująca – przesrane na całego. Za sześć lat będzie marzec 1968, połowa chłopaków i dziewczyn rozleci się po świecie. Chwilę po tym zabraknie i Bobka – szkoda. Co robić najgorsze przed nami. Do przystanku „Wolność” jeszcze długie trzydzieści lat, zdążymy się zestarzeć.

Pech k..., taki rocznik, 1942.